

TROCHĘ O PIĄTYM

Z "niasami" w gazetach bywa tak, że zwykle zaraz po przeczytaniu lądują w koszu i po naciśnięciu entera lądują gdzieś w czeluściach twardego dysku. Zdarzają się i takie, które po przeczytaniu w żaden sposób wykurzyć się nie dają. W maju 2003, w niedzielnej "Gazecie Wyborczej", natrafiłam na artykuł z grupy tych drugich, który wprost skłaniał do przemyśleń nad sensem piątego przykazania, w treści cokolwiek enigmatycznego, choć - jak mi się przypomina mającego związek z zakazem zabijania.

Przez cały okres mojej katolickiej edukacji tłumaczono mi, że "Nie zabijaj" łączy się przede wszystkim z przesłaniem poszanowania życia, dlatego też np. samobójcy są "a fe", bo go nie szanują. Nikt jednak nie potrafił mi wytłumaczyć, albo w swej ignorancji wyjaśnienie owo przegapiłam, dlaczego Kościół nigdy nie chciał, czy też nie potrafił jednoznacznie wypowiedzieć się w kwestii zabijania zwierząt.

Szynka na Wielkanoc - no cóż, skoro to święta wiosennej obfitości, to i golonka. Karpiożerstwo też tradycją zalatuje, a że przy okazji kielbasa na stole - no przecież od tego roku to już dozwolone. I tylko od czasu do czasu, między jedną a drugą kroplą krwi, może komuś przyjdzie do głowy, gdzie tu jest miejsce na afirmację cudu życia.

Co nieco w moim blond-łepku rozjaśnił mi artykuł w wspomnianej już gazecie, dumnie zatytułowany: *W lesie uczyć się życia*. Rozmowę odbył niejaki Marcin Kowalski z *duszpasterzem ludzi pracy w Bydgoszczy*, księdzem Ryszardem Prucz-kowskim.

Z zamieszczonego zdjęcia spoglądał na mnie sympatyczny, pyzaty pan, z głową już mocno przyprószoną siwizną i... okiem przytkniętym do lufy karabinu, a wszystko to w paradnym myśliwskim stroju.

Zacząłam się zastanawiać, czy ta "nauka życia" nie pochodzi przypadkiem z sekcji przeprowadzanych na sarnach, zającach i jakichś tam zbłąkanych kundlach? Przystałam się trochę dziwić, kiedy dotarło do mnie, że kapłan ów jest również duszpasterzem myśliwych.

Co do samej rozmowy, to m.in. możemy się z niej dowiedzieć, czym różnią się poszczególne rodzaje broni, no i jakie warunki należy spełnić, żeby zostać "prawdziwym myśliwym". Na tej drodze nawet zdobywanie umiejętności jako naganiacz nie jest czymś uwłaczającym. Dalej czytamy, że najwspanialszym trofeum księdza P. jest *łania sarny*. *Skórka wisi na plebanii, każdy, kto przyjdzie, ją podziwia*. Później następuje wyliczanka, co jeszcze możemy podziwiać, choć (niestety) *w większości to prezenty, jakie dostają podczas odwiedzin po kolędzie*. No bo w końcu: *Parafianie wiedzą, co mnie pasjonuje*.

Wrócmy jednak do pierwotnie zakładanego wątku metafizycznego, bo takich właśnie doznań miały dostarczać polowania. *Patrzę na piękno przyrody i podziwiam, jak perfekcyjnie Bóg stworzył świat. W końcu zapada zmrok, schodzę z ambony i dalej To pozwala naładować akumulatory na wulkę ze zwykłymi ziemskimi troskami*. Śliczne.

Nigdy nie wierzyłam i uwierzyć nie potrafię, że polowanie ma jakikolwiek związek z archetypem piękna sugerowanym poniekąd w omawianym tu artykule, co najwyżej z usakralizowanym mitem żądzy krwi, ukształtowanym przez naszą cokolwiek kulawą cywilizację.

Zanim człowiek 15 tys. lat temu nie posiadał umiejętności wytwarzania skutecznej broni, tzn. łuku i strzała, sam najczęściej bywał ofiarą, skazaną na łaskę dzikich zwierząt. Jeśli już spożywał mięso, to w formie padliny pozostawionej przez drapieżniki, budzące w nim grozę porównywalną z doświadczeniem sacrum.

W wyobrażeniach naszych przodków dzikie zwierzęta zyskiwały magiczną moc i znajdowały swe miejsce w panteonie starożytnych bóstw. Wystarczy wspomnieć o Ganeśi, hinduskim bogu mądrości o głowie słonia, o strzegącym bram Hadesu Cerberze, czy o wyobrażanej jako kruk iryjskiej bogini Badb.

Wraz z wynalezieniem broni zwierzęta straciły wiele ze swej mocy, stając się powoli ofiarami zarówno człowieka, jak i jego boskiej wizualizacji.

Lewiatan, morski potwór często wyobrażany jako krokodyl lub wieloryb, którego w tradycji kabalistycznej symbolizuje Samael, księżę zła, miał w przyszłości zostać unicestwiony. Kontynuacja tego mitu w Biblii jest zresztą jednoznaczna. Tego potwora o siedmiu głowach miał pokonać Jahwe. Symbolizuje to ucieczka Izraelitów z Egiptu i rozstąpienie się morza, co zostało zinterpretowane jako niezwykły dowód pomocy Boga.

W tradycji greckiej mamy Tyfona, potwora o stu smoczycy głowach i węzłach zamiast nóg, pokonanego przez Zeusa.

Zwycięstwo nad bestią stało się rekompensatą za pierwotnie wyrządzone krzywdy, kiedy dzisiejszy kat stał się ofiarą. Ta pierwotna rekompensata stała się nie tylko przyczynkiem wyginiecia tysięcy gatunków zwierząt, ale i do wznoszenia z nich ofiar.

Starotestamentowy Bóg domaga się ofiary z baranka, a w Bhagavadgicie Kryszna żąda, by wybić wrogów jak psy.

Późniejsza historia również nie skąpi od opiewania myślistwa, tym razem jednak już pod szlachetnym płaszczem dobrego urodzenia, kiedy to łowy stały się rozrywką bogatych dworów. Wytworzono cały system usankcjonowanego zabijania, budując wokół niego cały ceremoniał.

Jedynym wyjątkiem wydaje się tu być św. Franciszek i jego nawoływanie do umiłowania "braci mniejszych". Jest to jednak jeden z niewielu wyjątków, jakie zanotowała literatura. Jednym z jej motywów była później pochwała łowiectwa, płynąca wraz z mitem Sarmaty i całą romantyczną koncepcją afirmacji polowań jako spuścizny po pełnej chwały historii.

Biorąc pod uwagę tak głębokie korzenie kulturowe, nie można się dziwić, że i dziś łowiectwo zbiera wokół siebie zwolenników tego typu "sportu". Wg dostępnych danych z 1993 r. Polski Związek Łowiecki skupia ponad 97 tys. członków.

Pochodzę z centrum Pałuk, z okolicy, gdzie znajduje się więcej ambon strzeleckich niż lasów, przez wielu zachwalanej jako kraina wspaniałych łowów. Kilka lat temu, tak z głupawej ciekawości, wdrapałam się na podobne cudo myśliwskich dłoni i do dziś nie mogę wyjść spod wrażenia, choć nie wiem, czy chodzi tu bardziej o ludzką głupotę, czy też przerażenie.

Polowania "oficjalnie" odbywają się w okresach, kiedy jest już dosyć zimno, a ja zjawiłam się tam w środku upalnego lata i cosik chłodno, bo mi wieje. Zacząłam więc trochę współczuć naszym silnym mężczyznom, bo dla dobra lasu muszą się nieźle poświęcać marznąć w tej słońce, a w oczekiwaniu na zdobycz rozgrzewać się jedynie jakimś tam bimberkiem.

Godne zastanowienia było jeszcze jedno. Polowania zwykle odbywają się w lasach. Wyglądam więc w tamtą stronę, by nacieszyć się zielenią, a tu dziura zabita dechami. Za to z drugiej strony w pełnej okazałości widać nieskoszone jeszcze pole. Pojedynek wydaje się być ułatwiony, bo przy spotkaniu z lufą karabinu żadne stworzenie nie ma najmniejszych szans skorzystał z tego zresztą już hitlerowcy przy okazji obozów koncentracyjnych (też mieli ambony).

W bliskim sąsiedztwie tego cudu, już w samym lesie, są zwąły nawiezionej ziemi. Jak mi wytłumaczono, jest to coś w rodzaju zbiorowego grobu zwierząt np. zbyt młodych, żeby kwalifikowały się do odstrzału, a poza tym trzeba się gdzieś pozbyć flaków czy psa sąsiada. Przeróżające jedynie jest to, że dla zaspokojenia pierwotnych żądz pokonania nieistniejącego wroga tak wiele stworzeń musi cierpieć i umierać. I nieważne, czy nazwiemy to udowodnianiem własnego męstwa, pragnieniem kontaktu z przyrodą, czy, co gorsza, akumulatorem mającym pomóc zmagać się później z życiem w cywilizacji.

Moim zamierzeniem nie była krytyka kleru czy jakiegokolwiek innej grupy społecznej, jedynie próba wyjaśnienia, na jakiej zasadzie i czemu ma służyć cała ta machina śmierci, szczególnie w obliczu legendy o św. Hubercie, człowieku, który raz nie zabił i zrozumiał, bo ja zrozumieć nie potrafię. ■

Arlęta Wojtczak
grudzień 2003

Autorka kończy FP na Akademii Bydgoskiej, specjalność kulturoznawcza, praca mgr "PRL w tekstach Kazika Staszewskiego". Zainteresowania: mitologia, poezja, teatr, ekologia, żużel. Wegetarianka od 7 lat,